

Zanikanie granicy polsko-litewskiej

1944 metais ponas Petras Dapkevičius pirmą kartą nuvažiavo į Lietuvą. Jam buvo tik penki metukai. Kartu su seneliu vežė tetą Petronėlę. Jau tuomet beveik neįmanoma buvo patekti į tėvynę.

Vyko sisteminis sienos uždarymas. Buvo sukurtas pasienio ruožas, kurį saugodavo kaip šventą paveikslą. Pas žmones apsigyveno kareiviai ir jų vadai saugojantys pasienio ruožą. Su kaikuriais iš jų iki šiandien dienos ponas Dapkevičius bičiuliuojasi. Pasienyje išartu ruožu rūpinosi ir patys kaimo gyventojai, kiekvienam kaimui buvo priskirtas ruožas, kurį jo gyventojai turėjo arti ir purenti. Siena iš Rusijos pusės buvo užtvirta vieline tvora, niekam nepavykdavo pro ją prasmukti. Lenkų pusėje kas dvi valandos patruliavo kareiviai. Būdavo ir juokingų situacijų kai vietiniai gyventojai padėdavo saugoti sieną, o kareiviai norėdami patikrinti ar jie sąžiningai saugoja atsiūsdavo persirengusį apsimetėlį.

Ponas Petras būdamas kariuomenėje Bieszczaduose kartu su draugais nuvažiavo pažiūrėti kaip atrodo siena su Czechoslovakija.

1964 metais galima buvo aplankyti savo šeimas Lietuvoje, tačiau nebuvo jokio perėjimo per Lenkijos su Lietuvos Tarybos Sąjungos siena, tuomet reikėjo važiuoti per Sokółką ir Gardiną.

Su šeima iš Lietuvos galima buvo susitikti per mitingus. Jų metu vienai dienai buvo atidaromas perėjimas Lazdijai-Aradnykai.

1986 metais buvo atidaryta siena Aradnykuose ir jau nereikėjo važiuoti per Baltarusiją. Prasidėjo pasienio prekyba. Tačiau visvien pervažiavimas per sieną trukdavo labai ilgai. Kartais reikėdavo stovėti eilėje net visą naktį.

1990 metais įvyko nepriklausomos Lietuvos atgimimas. Tuomet dar sunkiau buvo kirsti sieną. Lietuvos vyriausybė įvedė papildomą keleivių kontrolę, nepriklausomai nuo oficialaus sovietinio perėjimo. Norėjo apsaugoti parduotuves nuo visiškos tuštumos. Tai truko iki 1991 metų rudens kai Lietuva tapo nepriklausoma valstybe. Nuo to laiko sienas saugojo jau patys lietuviai. Nors rusų kariuomenė dar ten buvo dvejis metus.

Kai Lenkija ir Lietuva įėjo į Šengeno strefą viskas pasikeitė. Nebuvo jokių problemų pervaziuoti sieną. Keleiviai tik retkarčiais yra kontroliuojami. Seniau apie tai buvo girdima vakarų Europoje. Nieks netikėjo, kad kažkada atsitiks ir pas mus toks stebuklas. Neįtikėtina – sakė ponas Vilkelis iš Dusnyčios, kad siena, kuri buvo stipriai saugoma keliasdešimt metų staiga dingo.



o raz pierwszy na Litwę pojechałem pod koniec lata 1944 roku. Wtedy to odwoziliśmy z dziadkiem moją ciocię, a jego córkę Petronelę Petruškevičionę. Ona wyszła za męża do wsi Burbiszki, ale w konsekwencji paktu Ribbentrop-Mołotow znalazła się na Litwie i po zakończeniu wojny już tu nie wróciła.

Jechaliśmy niewielką furą, zaprzężoną w jednego konia. Ja miałem wówczas pięć lat, więc dobrze pamiętam tę podróż, a najbardziej słupki przydrożne. Z tej strony granicy były pomalowane na kolor czerwony, a po stronie litewskiej na niebieski. Tak jeszcze trwało to wiele lat, obecnie bodajże po stronie Litwy słupki są czarno-białe. Ciocia wiozła w prezencie dla swej licznej rodziny w lnianym woreczku piękne żółte ziarenka. Dopiero po latach dowiedziałem się, że to mogło być proso. Dziadek, doskonale znający język rosyjski, zapewne je za coś wymienił z oficerami przebywającego tu sowieckiego wojska.

Cioci do jej miejscowości Verstaminai nie dowieźliśmy. Po kilku kilometrach przejechanej szosy zawróciliśmy do domu, gdyż zbliżał się wieczór. Było to ostatnie spotkanie córki z ojcem. Nastąpiło systematyczne zamykanie granicy. Moja żona, wywodząca się z przygranicznej wsi Dusznica, nieraz opowiada o tym, jak ich odwiedziła jej ciocia, również Petronela z Litwy, a za nią przygnało kilku żołnierzy sowieckich. W gospodarstwie odbywała się młócka zboża, więc ją szybko ukryto w snopach związanej słomy. Rodzina wyparła się, że nikogo nie widziała. Ciocia w słomie przesiedziała do nocy i po krótkim, też ostatnim widzeniu wróciła do domu.

Gdy zapadał wieczór, wychodziliśmy na górkę obserwować płonące po litewskiej stronie budynki. W ten sposób niszczone wieloletni dorobek ludzkich pokoleń. Mieszkańców z tamtej strony wysiedlano na co najmniej kilometr od pasa granicznego, a tu tworzone jakby pasy ziemi niczyjej. Ciekaw jestem, czy tak wyglądała wszędzie granica dookoła Związku Radzieckiego? Bo tu chodziło o uniemożliwienie ucieczek ludności na polską stronę. Zasięki z kolczastego drutu zbudowano dopiero po kilku latach.

Po stronie polskiej, też zapewne na rozkaz Moskwy, w przygranicznych wsiach kazano zlikwidować psy, a okna od strony granicy szczelnie zakrywać na noc, aby uniknąć jakiegokolwiek sygnalizacji świetlnej. Mówiło się, że psy inaczej szczekają na chodzących żołnierzy, a inaczej gdy porusza się osoba cywilna.

Na wiosnę 1946 roku do Żegar sprowadził się oddział wojska (kompania) strzegącego i pomagającego komisji delimitacyjnej do wytyczenia granicy państwowej. W naszych zabudowaniach mieściło się całe kierownictwo pod przewodnictwem profesora Stanisława Gorzuchowskiego, natomiast wojsko stacjonowało w odległym o pół kilometra gospodarstwie Wincentego Jakubowskiego. Komisja radziecka pod przewodnictwem generała Aleksandrowa stacjonowała w dworku Hołny Majera. Na noc wystawiano na dwóch wzgórzach posterunki uzbrojone w karabiny maszynowe. Obawiano się napaści ze strony polskiego podziemia. Tu nic takiego nie nastąpiło, ale w lasach augustowskich zatrzymano wojskowy samochód, żołnierzom zdjęto mundury i puszczono wolno w samej bieliźnie.

Zapewne kogoś zainteresuje to, że profesor S. Gorzuchowski po kilku latach był sądzony i skazany na karę śmierci za to, że jakoby współpracował z rządem londyńskim. Jak tam było, to obecnie już trudno dociec¹. Wiem tylko to, że tu przyjeżdżał w odwiedziny ówczesny nowy proboszcz sejneński ksiądz Józef Złotkowski. W każdą niedzielę wojsko jechało na nabożeństwo do Sejn. Po następnych paru latach to byłoby nie do pomyślenia.

Z siedmiomiesięcznego u nas pobytu komisji pozostały znajomości z paroma osobami tam pracującymi. Inżynier Karol Sikorski, zapalony wędkarz, przez wiele lat tu spędzał urlopy, a także Jan Żardecki, wówczas student pracujący na kuchni, a później aktor w teatrze „Ateneum”, obecnie mieszkający w rodzinnej wsi pod Warszawą, który nadal utrzymuje znajomość z naszą rodziną.

W mojej pamięci pozostały opowieści, jakie wieczorami słyszałem od pracowników komisji. Wytyczając granicę i wiedząc, że dane gospodarstwo pozostanie po stronie polskiej, uprzedzali gospodarza, aby się „postarał” o to, żeby go nie oddzielono od sąsiadów lub granicy nie wytyczono na przykład przez środek podwórka. Ten błagał profesora, aby granicę wytyczono po ludzku. Komisja ustępowała, gdy była odpowiednio wynagradzana. A w sobotę wyprawiała samochód z darami do rodzin mieszkających w Warszawie. Jechały gęsi, kaczki, sery i masła, a ponieważ Warszawa wówczas głodowała, to stąd przywożone produkty stawały się rarytasem. Najbardziej rozmowny wieczorami był kierowca o nazwisku Gałązka.

Utworzono przy całym pograniczu tzw. pas ziemi zaoranej i ciągle bronowanej. Mając już chyba dziesięć lat, mogłem z dziadkiem jednego dnia

taki pas bronować. Każda wieś miała wyznaczony bodajże dwudziestometrowej szerokości odcinek i musiała trwale go utrzymać w strukturze spulchnionej ziemi, żeby w razie przejścia po nim kogokolwiek było to bardzo widoczne.

Pilnowali nas polscy żołnierze, a w oddali lub z wież obserwacyjnych żołnierze radzieccy. Głośny był, chociaż tego nie rozgłaszano, gdzieś za Puńskiem wypadek zastrzelenia pracującego rolnika przez sowieckiego żołnierza. Chłopu w upale zachciało się pić i gdy zbliżył się do płynącego strumyka, został bez uprzedzenia zabity. Trzeba dodać, że przysyłano tu na służbę Azjatów, bardzo usłużnych i wiernych wobec Związku Radzieckiego. Dopiero w latach siedemdziesiątych dowództwo placówek mogli obejmować oficerowie narodowości litewskiej.

To wtedy przytrafiło mi się przekroczenie granicy. Po świątecznych feriach odwoziłem do szkoły w Puńsku sankami po łodzie Gaładusi siostrę Teresę. Ranek był zachmurzony, więc pilnowałem się zachodniego brzegu jeziora. Ale zapewne wprowadziła mnie w błąd jedna z wysp i nagle przed sobą zauważyłem kilku wędkujących mężczyzn. Jeden z nich krzyknął: „Kuda jediesz!”, a ja myśląc, że to polscy wędkarze sobie żartują, mówię: „Domoj!”. I jadę dalej, ale już następny do mnie groźniej: „Tu nieźlia!” (nie wolno). Patrzę, a tu na czapkach mają czerwone gwiazdki. Wtedy raptownie ściągnąłem konia bardziej do brzegu i tak mi się poszczęściło, że nie zostałem zatrzymany. Widocznie zależało im bardziej na złowieniu ryb.

Granica ze strony radzieckiej – poza pasem zaoranej ziemi – była ogrodzona drutem kolczastym, tak aby nikt się nie prześlizgnął, a ponadto wzmocniana rakietami strzelającymi i oświetlającymi teren, gdyby ktoś ten płot naruszył. Zresztą już nikt, lub prawie nikt, jej nie przekraczał. Kto się nie dostał do Polski w pierwszych latach po przejściu frontu, później nie miał szans, aby to zrobić.

Ze strony polskiej co parę godzin szły patrole dwóch żołnierzy (zimną na nartach) od placówki w Hołnach Wolmera po Połuńce i z powrotem. Poza tym sąsiedzi przeprowadzili linię telefoniczną (wtedy jeszcze nie znali telefonów komórkowych) i aby zaoszczędzić na materiałach, pomyślano o jej skróceniu w poprzek Gaładusi. W tym celu wykorzystali wyspę i wysepkę między wsiami Radziucie a Dusznica, przy czym jeden słup stał w płytkiej wodzie jeziora.

Nawet teraz Gienek Polanis nie może się nadziwić, jacy to byli dobrzy fachowcy, gdyż linia służyła przez ładnych parę lat i dopiero przy większych nawiosnę wodach Gaładusi i silnych wiatrach zawaliła się. Już jej nie naprawiali, a wybudowali nową dookoła jeziora, wciąż jeszcze na drewnianych słupach.

Aby sprawdzić, jak ludność cywilna pomaga strzec tak silnie obstawionej granicy, co kilka miesięcy nasyłali przekraczających ją ludzi. Wyglądało to tak, że przebierali po cywilnemu żołnierza, który szedł od jej strony przez

pola lub pewnymi odcinkami drogi, tak aby ludzie go widzieli. A władze wojskowe czekały na wiadomości od mieszkańców o przestępcy. Było sporo śmiechu, gdy taki łódką dostał się na jedną z wysp i parę dób czekał na wyjawienie. Gdy się dobrze wygłodził, a znikąd nie przychodziła pomoc (i łódka odpłynęła), sam zaczął krzyżeć i wzywać pomocy. Nieraz robiły to dzieci z rodzin pomagających wojsku, za co otrzymywały wynagrodzenie w postaci roweru i innych przedmiotów.

W 1962 roku, będąc w wojsku w Bieszczadach, namówiłem paru kolegów, aby w jedną z niedziel zobaczyć, jak wygląda granica z Czechosłowacją. I chociaż przeszliśmy tą granicę dobrych kilka kilometrów, nie spotkaliśmy żywej duszy. Mogliśmy też łatwo przejść na drugą stronę, bo nie było żadnych zasieków z drutu.

W pierwszych latach po wojnie nawet listy z Litwy przychodziły po miesiącu. Szły przez Moskwę, a adresować należało w dwóch, a nawet trzech językach. Pamiętam, jak ojciec kopertę przedzielał kreską na połowę i aby napisać po rosyjsku, nosił ją do nauczycielki tego języka.

Nastąpił rok 1964, kiedy zezwolono nawzajem odwiedzać najbliższe rodziny. Jednak z Polską nie było żadnego przejścia granicznego, wobec czego do Litewskiej Republiki Radzieckiej należało jechać przez Sokółkę i Grodno, co trwało półtorej doby. Gdy w 1965 roku zmarli na Litwie mój stryj i najstarsza ciocia, zacząłem bardziej interesować się możliwością odwiedzenia żywych. I tak przyszedł rok 1966, kiedy zezwolono za zaproszeniami odwiedzać krewnych w drugim pokoleniu. Zaproszenie na specjalnym druku dostałem od brata stryjecznego, więc o tym samym nazwisku, jedynie z końcówką litewską. Ale i tak tylko mogłem poruszać się po rejonie Kapsukas (tak się nazywał Mariampol); do innych przygranicznych rejonów wstęp był nadal zabroniony.

Pojechałem na Litwę przed Wielkanocą, gdy jeszcze nie ruszyły siewy zbóż. Na dworcu w Grodnie wyczytałem, że stamtąd prowadzi linia autobusowa przez Łozdzieje (Lazdijai) i wymieniony Kapsukas, utrzymywana zresztą i teraz (jeżdżą po niej rosyjskie autobusy). Postanowiłem więc przy okazji spotkać się z ciocią, której nie widziałem dwadzieścia dwa lata. W Łozdziejach nawet mi się podobało: miasteczko czyste jak i teraz, ulice wyasfaltowane (w Sejnach jeszcze bruk), w kilku miejscach rozlegała się skoczna muzyka ludowa, trwały próby zespołów amatorskich.

Jednak aby trafić do cioci, musiałem zapytać paru przechodniów, gdyż mieszkała trzy kilometry za miastem. Zmęczony doszedłem tam na późny wieczór. Ciocia przestraszona nawet nie chciała mi drzwi otworzyć, dopiero gdy wytłumaczyłem com za jeden (Piotr znad Gaładusi), wpuściła mnie do domu i zaczęła się wielka radość. Jednak gdzieś po kilkunastu minutach zawarczał za oknem silnik samochodu i bez dużych ceregieli wszedł osobnik

w cywilu, mówiący po litewsku. Naturalnie, wziął się za moje dokumenty, kazał się ubierać i jechać tam, dokąd zostałem zaproszony. Ciocia na to w płacz i zaczęła prosić, aby mi zezwolił chociaż przenocować. Niestety, o spaniu nie było mowy, za tyle lat niewidzenia się było co opowiadać.

W odwiedziny do krewnych na Litwie jeździłem okrężną drogą jeszcze dwa razy, chociaż do najbliższej mieszkającej cioci miałem dwadzieścia kilometrów. Ostatni raz pojechałem tranzytem już po zniesieniu stanu wojennego i najdziwniejsze, że w tym uciążliwym okresie od krewnych z Litwy otrzymywaliśmy listy bez pieczętki „ocenzurowane”. Ale gdy do wagonu w Kuźnicy wszedł celnik radziecki, przede wszystkim pytał podróżnych: „Dewocjonalia i pornografiju imiejetie?”. Z tego nawet wyłonił się pewien wesoły incydent, ale nie będę zanudzał czytelników.

Do spotykania się z krewnymi służyły jeszcze wiece przyjaźni. Wtedy na jeden dzień otwierała się granica na szosie Łódzkiej – Ogrodniki i z obu stron jechały pełne autokary zaufanych ludzi. Pierwszy taki wiec odbył się w Sejnach latem 1965 roku. Mówiło się, że ze strony litewskiej przyjechało dwa tysiące ludzi. Ja się spotkałem z zięciem wspomianej cioci, gdyż był partyjny i pracował jako wiceprzewodniczący kolchozu.

Następny wiec miał miejsce 11 maja 1975 roku w Wiejsiejach i tam, jako długoletni radny byłem osobą zaufaną i mogłem w nim uczestniczyć. Była też ciocia, jak i kilka innych spokrewnionych osób. Po paru latach znów spotkaliśmy się w Wiejsiejach, a ostatni raz w stanie wojennym w Sejnach, gdzie nawieźli tak dużo milicji, że jak powiedział mój przyjaciel Żmudzin, zrobiło się aż „niebiesko od milicyjnych mundurów”. Zapewne ze strony Litwinów również przyjechało dużo milicji przebranej po cywilnemu. Nawet miałem sposobność spotkać się z jednym osobiście w którymś z reprezentacyjnych namiotów. Wymienił swoje nazwisko i zapraszał do siebie w odwiedziny do Kapsukasa (Mariampola). A gdy po jakimś czasie wpadłem do krewnych w tym mieście i wymieniłem to nazwisko, okazało się, że ma stopień pułkownika i pracuje jako śledczy.

Niedawno ktoś zapytał, czy się zdarzały nielegalne przejścia przez granicę. Znam parę takich przypadków i to w okresie stanu wojennego, kiedy granica była znów silnie strzeżona. Otóż zdarzało się to po pijaku i do tego w nocy. Tak przeszedł granicę Henryk P. z nabojem w kieszeni; żołdaci go spytali: „Imiejesz patron, a gdzie wintowka”? Natomiast Bolek C. szedł „po płocie”, aż trafił na ślęczącego żołnierza. Naturalnie, został zatrzymany i na parę dni osadzony w areszcie, dopóki się nie wyjaśniło, że nie należał do „Solidarności”.

Zbliżały się czasy odwilży i pieriestrojki. Paszporty na wyjazd na Litwę, jak i do innych krajów, wydawali już na trzy lata, a nie – jak dotychczas – jednorazówki. W 1986 roku otwarto przejście graniczne w Ogrodnikach

i skończyła się udręka przejazdów tranzytowych przez Białoruś. Gdy po raz pierwszy pojechałem na Litwę wciąż radziecką, zobaczyłem, że we wsi Akmeniai oni (celnicy) mają już wybudowane murowane budynki, a po naszej stronie stały jedynie tymczasowe blaszaki. Zaczął się masowy handel przygraniczny. Ludzie korzystali z dużej różnicy cen i jednak na Litwie sklepy nie były tak opróżnione, jak u nas w okresie stanu wojennego. Kolejki do przejścia granicznego ciągnęły się nieraz kilkanaście kilometrów z obu stron. Celnicy i wojskowi niby przepuszczali przejezdnych lub pieszych, ale robili to ślamazarnie i nie wiadomo czego szukali.

Dobrze, gdy ktoś po tym oczekiwaniu zarobił, ale kiedy jechało się w interesie niehandlowym, to stawało się to bardzo uciążliwe. Raz odwoziłem córkę swoim fiacikiem na Litwę, gdzie studiowała, to przestaliśmy w kolejce całą noc, a i tak musiałem nazajutrz prosić bliżej stojącego kierowcę, aby ją podwiózł do dworca autobusowego w Łozdziejach, skąd dostała się do Wilna.

W 1990 roku nastąpiło odrodzenie się niepodległej Litwy, co jeszcze bardziej utrudniło przejazdy przez granicę. Rząd litewski wprowadził dodatkowe sprawdzanie przejezdnych, niezależne od oficjalnego przejścia radzieckiego. Tak chcieli zapobiec całkowitemu ogołoceniu sklepów i zebrać pewne sumy pieniędzy do skarbu państwa. Trwało to do jesieni 1991 roku, kiedy po obaleniu puczu w Moskwie uznano samodzielność Republiki Litwy.

Odtąd strzeżenie granicy powierzono samym Litwinom, chociaż wojska radzieckie (obecnie już rosyjskie) stacjonowały tam jeszcze dwa lata. Kolejki do przejść granicznych jakby się zmniejszyły, co zresztą zależało od tego, jaka zmiana celników ma dyżur. Przestępstwa przemytnicze istniały i istnieją nadal, chociaż na mniejszą skalę lub bardziej zorganizowane.

Po wstąpieniu Polski i Litwy do strefy Schengen 1 maja 2007 roku można powiedzieć, że znikły wszelkie trudności przy przejściu granicy. Służby celne i wojskowe przekraczających ją sprawdzają sporadycznie i wrywkowo. Tak po polskiej, jak i po litewskiej stronie. O czymś takim wcześniej słyszało się jedynie od tych, którzy bywali na zachodzie Europy. A to, co się stało u nas, to można nazwać cudem, jak twierdzi Witold Wilkialis mieszkający w Dusznicy prawie przy samej granicy, pamiętający bardziej od innych, jak przez kilkadziesiąt lat była silnie strzeżona.

Przypisy

¹ Profesor skazany został w procesie łódzkim (1947) na pięć lat więzienia, zmarł w 1948 roku we Wronkach (red.).